

„Słowo się potyka i otwiera nową myśl”. Z Piotrem Mitznerem rozmawia Żaneta Nalewajk

Żaneta Nalewajk: Pierwsze pytanie, które chciałabym zadać, będzie dotyczyło początków twojej drogi poetyckiej. Wydajesz tomiki od ponad 30 lat. Debiutowałaś tomem poezji *Dusza z ciała wyleciała* (1980), później ukazały się takie twoje książki poetyckie, jak *Z czasem*, *Podróż do ruchomego celu*, *Zmiana czasu*, *Las*, *Myszoser*, *Pustosz*, *Podmiot domyślny*, *Dom pod świadomością*, *Niewidy* (poemat), *Kropka* i ostatni tomik, wydany w 2012 roku, zatytułowany *W oku kuku*¹. Tadeusz Różewicz zwykł mawiać – za Norwidem zresztą – że „poetą się nie jest, poetą się bywa”. Kiedy zrozumiałeś, że zostałeś poetą, i w jakich okolicznościach uświadamiasz sobie najbardziej, że nim jesteś?

Piotr Mitzner: Widzenie poetyckie i poetycki sposób odczuwania świata pochodzą, rzecz jasna, z dzieciństwa. Ono jest najważniejsze. Myślę, że wszyscy rodzice powinni być zobowiązani do zapisywania tego, co mówią ich dzieci. A mówią rzeczy wspaniałe. To jest wielka poezja. Sam chodziłem z zeszytem za moimi dziećmi i notowałem wszystko. Moich wypowiedzi z dzieciństwa zachowało się bardzo mało. Mama spisywała je wprawdzie, ale zajmowała się mną głównie prababcia, która mówiła wyłącznie po rosyjsku. Te strzępy tekstów, które zostały, uważam za swój debiut poetycki.

Żaneta Nalewajk: Pamiętasz, co wtedy mówiłeś?

Piotr Mitzner: „Połknął nas wieloryb nocy” albo „Czy oczy latają? Przecież mama mówi, że poleciało jej oczko” itd. Uważam jednak, że okres oralny poezji moich dzieci lepiej udokumentowałem. Intencjonalnie zacząłem pisać wiersze w okresie dojrzewania. Wtedy poezja szła w parze z nabywaniem świadomości własnej płci.

Żaneta Nalewajk: Okres dojrzewania i literatura chyba nie zawsze idą w parze. Częściej nabywanie świadomości płci łączy się z potrzebą pisania. Ale niekoniecznie musi wyjść z tego poezja.

Piotr Mitzner: To prawda. Miałem wtedy czternaście albo piętnaście lat. Jako szesnasto- i siedemnastolatek wkroczyłem w bardzo mroczny okres zawirowań egzystencjalnych. Przyjaźniłem się z hipisami. Na szczęście nie nadużywałem środków odurzających. Wtedy właśnie debiutowałem w prasie. Był '71 albo '72 rok. Jerzy Zagórski prowadził wówczas rubrykę w „Kurierze Polskim” i wziął ode mnie wiersz, a następnie go opublikował. Byłem bardzo zadowolony, że debiutowałem właśnie u Zagórskiego. Ten wiersz został później przedrukowany w wersji polskiej i w tłumaczeniu na język francuski w programie Teatru Wielkiego do baletu według sztuki teatralnej Pabla Picassa *Pożądanie schwymane za ogon*. Następnie Ludwik Erhardt, który uznał tekst programu

¹ Już po nagraniu tej rozmowy w 2013 roku nakładem wydawnictwa tCHU ukazała się kolejna książka poetycka Piotra Mitznera i po kropce.

za pretensjonalny, krytykując go, zacytował mój wiersz w całości w swoim felietonie publikowanym na łamach „Kultury”. Można powiedzieć, że ten mój pierwszy tekst poetycki zrobił całkiem sporą karierę jak na debiut. A potem długo nic.

Miałem różne okresy twórczości. Kiedy już dojrzałem do tego, żeby publikować swoje wiersze, byłem w fazie surrealistycznej czy surrealistyczno-futurystycznej. Jeden z moich kumpli z liceum, Krzysiek Jaworski, też miał fazę na pisanie odjazdowych wierszy. Nikt nie chciał naszych tekstów drukować, więc postanowiliśmy kolportować je samodzielnie. W rozmaitych miejscach publicznych ustawialiśmy tablicę, do której przyklejone były wiersze pisane na maszynie, a poza tym w walizce mieliśmy także wiersze ręcznie kaligrafowane, z kolorowymi obrazkami. Można było je kupić. Pisaliśmy również teksty na miejscu i na zamówienie. Robiliśmy takie akcje w Warszawie – na Mariensztacie i na Starym Mieście – oraz w Podkowie Leśnej. W pewnym momencie naszą działalność podciągnięto pod drugi obieg, na skutek czego zainteresowała się nami milicja. Esbecy przychodzili do liceum w Milanówku, pobierali próbki naszego pisma, ale bardziej się nam nie naprzykrzali.

W ten sposób dotarliśmy do roku 1980. Jeszcze przed sierpniem uruchomiliśmy podziemne wydawnictwo poetyckie. Udało się nam wydać dziesięć tomików. Drukarnia mieściła się w Pałacu Kultury i Nauki. Wynosiliśmy stamtąd wielkie torby z książkami poetyckimi. Drukarz, który z nami współpracował, Piotrek Toczycki, postanowił wyemigrować do Australii. W ostatnich miesiącach przed wyjazdem użyczył nam maszyn drukarskich. W międzyczasie w kilku miejscach ukazały się moje teksty, a potem znów zaczęły się pie-repatki z redakcjami. Próbowaliśmy wydać tomik – jeszcze przed *Podróżą do ruchomego celu* opublikowaną w „Przedświcie” – ale miałem ogromnego pecha. Nie udawało się po prostu.

Wiersze były właściwie prawie zawsze. Czasami na jakiś czas znikają, ale potem wracają. W zasadzie są punktem stałym w tych zmieniających się stanach, w których byłem i jestem. Zawodowo robiłem bardzo różne rzeczy (w skrócie: teatr, doktorat, muzeum, potem znów teatr, po nim ośrodek kultury, wreszcie uczelnia). A wiersze pisałem niemal nieprzerwanie. Są moim sposobem widzenia świata. Przywiązałem się do zapisywania. Chwywania obrazu i dźwięku. Coś mi mówi: zapisz to, Mitzner.

Żaneta Nalewajk: A czy mógłbyś uchylić rąbka tajemnicy i opowiedzieć o swojej pracy warsztatowej? Jak powstają twoje wiersze? Najpierw pojawiają się obraz i dźwięk, później coś ci mówi: „zapisz to, Mitzner”. I co dalej?

Piotr Mitzner: Zapisuję wiersze na biletach, rachunkach, a najczęściej na kwitach parkingowych. Zazwyczaj robię to podczas jazdy samochodem, gdy stoję w korku. Kiedy coś przychodzi mi do głowy, sięgam po kwit i notuję na kierownicy. Teraz muszę uważać, bo jeżdżę samochodem, który ma klakson bardzo czuły na dotyk. Gdy zapisuję wiersze, klakson często trąbi. To, co powiem, będzie może banalne, ale tak to wygląda: niektóre wiersze przychodzą mi do głowy w całości, od początku do końca, a inne słyszę jako melodię, do której mam w punkcie wyjścia tylko kilka słów. Nie wiadomo, kiedy pojawią się następne. Później przepisuję te teksty na komputerze i wyrzucam prawie wszystkie rękopisy.

Żaneta Nalewajk: Zostaw, proszę, na użytek przyszłej publikacji jeden albo dwa kwity parkingowe – wydrukujemy je jako ilustrację do tej rozmowy.

Piotr Mitzner: Jeden zostawię. Wracając jednak do spraw warsztatowych: po przepisaniu notatek z kwitów w komputerze powstaje rodzaj poetyckiego zsypu, do którego wracam i nad którym pracuję. Zsypanie ma w tej chwili ponad dwieście stron.

Żaneta Nalewajk: Dwieście stron niewydanych tekstów?

Piotr Mitzner: Tak, ale to jest śmietnik. Są tam teksty prawie gotowe, półgotowe, częściowo gotowe. Później coś z tego daje się odłowić.

Żaneta Nalewajk: To bardzo różewiczowskie, a dla mnie zaskakujące w kontekście twojej twórczości: poeta śmietnika i poezja ze śmietnika (*śmiech*).

Piotr Mitzner: (*śmiech*) A w dodatku poeta sam ten śmietnik tworzy.

Żaneta Nalewajk: A potem wykorzystuje poetyckie surowce wtórne.

Piotr Mitzner: To też. Poza tym zdarza mi się świadomie krążyć wokół pewnych tematów, obrazów czy motywów. Ale to nie są tylko motywy. Kiedy piszę wiersz o drzewie, ono nie jest dla mnie motywem, ale konkretnym drzewem. Tak samo jak rzeka, na której drugą stronę przejeżdżam przynajmniej dwa razy dziennie. Za każdym razem patrząc na nią, widzę na niej i w niej coś innego. Myślę o niej cały czas, dlatego wraca w poezji. Podobnie jak wiatr, deszcz, śnieg. Zdarza się, że zapominam, co kiedyś napisałem. Po jakimś czasie wraca do mnie coś podobnego albo nawet takiego samego, a ja mogę nie być tego świadomy, bo nie zaglądam do swoich tomików sprzed lat. Sięgnąłbym do nich, gdybym miał za zadanie zrobić z nich wybór. Zobaczyłbym wtedy, co się ostało. Jak dotąd nikt nie zwrócił się do mnie w sprawie takiego wydania, a ja też nie proponowałem tego nikomu. Na szczęście moje wiersze drukuje zacne wydawnictwo tCHU.

○ czym jeszcze mam ci opowiedzieć? Dalej o technice?

Żaneta Nalewajk: Tak. Czytając twoje tomiki (począwszy od *Podmiotu domyslnego*, a skończywszy na ostatnim), odnoszę wrażenie, że zawierają niezwykle wyczelowane teksty. Są zwięzłe. Opierają się na obrazach, metaforach, przekształceniach związków frazeologicznych, wykorzystaniu fałszywych etymologii. To był, rzecz jasna, bardzo krótki i niekompletny opis poetologiczny, ale chodzi mi przede wszystkim o to, że kiedy się czyta te teksty, nie sposób nie dostrzec w nich trudu pracy warsztatowej w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Piotr Mitzner: Cyzelowanie wiersza jest grą między tym, co chcę powiedzieć, i dźwiękiem. Staram się nad nią panować, ale w pewnym sensie bywa ona też bezwiedna. W moim pisaniu jest dużo intuicji. Często inspiracja do napisania wiersza bierze się z błędnego odczytania jakiegoś słowa.

Żaneta Nalewajk: Rzeczywiście, w twoich wierszach nie brakuje rozwiązań poetyckich polegających na wykorzystaniu lapsusów.

Piotr Mitzner: Czasami, kiedy czytam jakiś tekst, omsknie mi się oko. To jest tak, jakbym w trakcie lektury, a potem pisania, robił błąd drukarski albo literówkę. Tak, to sprawa literówek. Nagle taka literówka staje się inspiracją. Słowo się potyka

i otwiera nową myśl. Poza tym nie powiedziałem jeszcze, że od zawsze moją ulubioną lekturą są słowniki języka polskiego.

Żaneta Nalewajk: Które?

Piotr Mitzner: Niemal wszystkie. Szczególnie słowniki wileński, warszawski i Doroszewskiego. Pociągga mnie również wszelka dziwność językowa. Stąd smak w czytaniu staropolszczyzny. Niestychanie inspirujące okazuje się również sąsiedztwo języka rosyjskiego. To jedyny język poza polskim, który naprawdę dobrze znam. Fascynuje mnie wychwytywanie podobieństw i różnic pomiędzy nimi – pułapek etymologicznych. Lubię tłumaczyć z rosyjskiego. To mój język, ponieważ miałem z nim kontakt od czasów dzieciństwa.

Wspomniałaś wcześniej o cyzelowaniu wierszy. Czasami długo wpatruję się w napisany tekst, czytam go sobie pod nosem, zastanawiam się na przykład, czy „i” ma być tu, czy tam – ze względu na brzmienie tekstu. Sprawdzam, czy w wierszu nie ma waty słownej.

Żaneta Nalewajk: O to ostatnie chciałam dopytać. Praca nad wierszem polega zatem także na skracaniu i kondensacji?

Piotr Mitzner: Tak. Ważne, żeby nie było zbędnych słów, a czasami ciekawe jest to, na ile można wykorzystać tę wata słowną, w jakim stopniu te pozornie zbędne słowa i banały mogą powiedzieć coś niezbędnego i niebanalnego. Pociągga mnie konstruowanie. Stąd – jak myślę – moja sympatia do Przybosia. Przy okazji przypomniała mi się rozmowa Różewicza z Przybosiem o ekonomii słowa, która brzmiała mniej więcej tak:

Różewicz: Pan ostatnio wydał książkę *Najmniej słów*?

Przyboś: Tak.

Różewicz: Ale ona ma ze dwieście stron...

Żaneta Nalewajk: A muzyczność twoich wierszy?

Piotr Mitzner: Muzyczność wierszy bierze się ze słuchania i słyszenia muzyki, z szukania muzyki.

Żaneta Nalewajk: Jakiej?

Piotr Mitzner: Rozpiętość ogromna. To takie przyjemne trafić na kompozytora, który okazuje się tak bardzo mój jak Estończyk Arvo Pärt. Jest genialny.

W moim domu rodzinnym nie słuchało się muzyki. Ojciec był kompletnie amuzyczny. Można jednak było mówić o tradycjach muzycznych ze strony mamy. Ciągnęło mnie do instrumentów – brałem trochę lekcji fortepianu, trochę skrzypiec – ale zabrakło mi cierpliwości. Tak jak wspominałem, moje upodobania muzyczne miały zawsze dużą rozpiętość. W czasach licealnych – blues i Bach.

Żaneta Nalewajk: Był czas na B.

Piotr Mitzner: Tak, był czas na B. Miałem wtedy dobrą szkołę muzyczną, ponieważ po sąsiedzku mieszkał Bohdan Pociąg. Urządzał domowe koncerty. Słuchałem na nich muzyki z jego objaśnieniami. Później odbywała się dyskusja. Nie zabierałem w niej głosu, jedynie przysłuchiwałem się temu, co mówili przychodzący na te koncerty muzykolodzy. Dyskutowali o konstrukcji muzycznej, wykonaniu itp. To było bardzo ważne. Pociąg mówił

niezwykle pięknie i sugestywnie, jękając się jednocześnie. Żył z odczytów. Ćwiczył, co ma powiedzieć, podczas spotkań z nami. Tam nauczyłem się słuchać Mahlera, Brucknera. A na stoliku przed nami leżą między innymi płyty Marii Peszek i Arvo Pärta. To wszystko są dźwięki świata. Muzyką jest krzyk ptaków, szum wiatru, wrzaski z pijackiego zakątka. Szum miasta. Po stukocie obcasów w bramie i na schodach rozpoznaję, że moja kobieta wraca z miasta. To też jest muzyka.

Żaneta Nalewajk: W jakiej relacji te brzmienia pozostają do muzyczności wiersza?

Piotr Mitzner: Brzmienie wiersza bierze się z inspiracji tym wszystkim. Nie oznacza to, że chcę dokładnie zapisać usłyszaną melodię. Te dźwięki zostają jednak w pamięci.

Żaneta Nalewajk: W twoich tomach poetyckich obok poetyckich rozważań o czasie (rozumianym zarówno w sensie biologicznym, psychologicznym, społecznym, jak i historycznym), obok refleksji o ciele, doświadczeniu, rozpoznaniu płci, namiętności, przemijaniu, śmierci, pustce i problemach metafizycznych, pojawia się namysł nad kwestiami lingwistycznymi. Te ostatnie rozważania nie tylko są formułowane *expressis verbis*, lecz także uobecniają się pośrednio – dostrzec je można w twoim poetyckim dążeniu do sondowania możliwości wyrażania za pomocą języka. Czytając twoje wiersze, odnoszę wrażenie, że chodzi w nich nie tylko o to, by powiedzieć jak najwięcej w możliwie najbardziej zwięzłej formie, lecz także o zbliżanie się do granic wyrażalności, testowanie tego, co jeszcze da się zrobić z językiem i w języku. Dlatego chciałabym zapytać, czym jest dla ciebie doświadczenie tego języka w pracy z tekstem poetyckim.

Piotr Mitzner: Język jest pierwszy. Można w nim pracować, a on wywołuje rzeczy nienazwane, a ściślej mówiąc: nieuświadomione. To jest nierozdzielne. Nierzadko piszący nie może być pewien, do czego i dokąd doprowadzi go tekst.

Żaneta Nalewajk: To prawda. Zaskoczyłeś mnie jednak, mówiąc, że to język jest pierwszy, a nie doświadczenie.

Piotr Mitzner: Być może doświadczenie jest pierwsze, ale pozostaje tylko takie, które zostało nazwane. Język pozwala wydobyć mi z samego siebie to, czemu sam się dziwię. W pewnym stopniu pełni funkcję terapeutę.

Żaneta Nalewajk: Kładzie cię na kozetce zrobionej z samogłosek i spółgłosek...

Piotr Mitzner: Albo rzuca cię na podłogę... i coś ważnego uświadamia. A jeśli chodzi o relację języka poetyckiego i doświadczenia – myślę, że to bardzo trudna sprawa. Długo odczuwałem coś takiego jak pustka i brak doświadczeń. Zaczęło się to mniej więcej w okresie podstawówki. Kiedy myślę o tym czasie, mam wrażenie, że w ogóle go nie było. Wracało do mnie wtedy przeświadczenie, że nic się nie dzieje. Mnie nie ma. Wprawdzie system trwa, mija dzień za dniem, ale nic specjalnego się nie wydarza. Pojawiły się coca-cola i maluch (Fiat 126p – dopisek redakcji), ale cóż to za wydarzenia? Trwało to do momentu, kiedy zaczęło się naprawdę kottłować. To było doświadczenie pokoleniowe. Wcześniej sam starałem się prowokować działanie się, szukałem wrażeń na zasadzie: niech się tylko coś zdarzy. A skoro się nie zdarza i nie zmienia, to ja coś zrobię. Organizowałem akcje poetyckie, wędrowałem z hipisami.

Żaneta Nalewajk: A może powiesz coś jeszcze o doświadczeniu języka w pracy poetyckiej? Z tego, co dotąd padło, wynika, że umożliwia on doświadczenie siebie, pełni funkcję terapeutyczną, pozwala wydobyć z psychiki to, co nieświadome...

Piotr Mitzner: Praca w języku poetyckim jest także grą i zabawą. Każda zabawa ma swoje głębsze znaczenie. Kontakt z językiem poetyckim przestrzega też przed rozmaitymi pułapkami wyrażania i łatwiną w tej dziedzinie. Bywa również zabawny. Wczoraj przeczytałem na paczce papierosów napis: „Palacze papierosów umierają młodo”. Skojarzyło mi się to z powiedzeniem: „Wybrańcy muz umierają młodo”. Zastanawiałem się: czy z tego wynika, że palacze są wybrańcami muz?

Żaneta Nalewajk: Zgrabny sylogizm.

Piotr Mitzner: Tak, albo, innymi słowy, gotowy fragment tekstu poetyckiego.

Żaneta Nalewajk: Co jeszcze ten język poetycki z tobą robi?

Piotr Mitzner: Kręci i rzuca. Największy problem powstaje wówczas, gdy stawiasz nieustannie język w stan podejrzenia, a jednocześnie chcesz powiedzieć coś serio. Żeby napisać coś ważnego, musisz zagłuszyć w sobie krytyka językowego. Dzieje się tak wtedy, kiedy chcesz wyrazić uczucia.

Żaneta Nalewajk: To prawda. Jednak to, co najistotniejsze, podane w nieoszlifowanej formie, zakrawa często na banał.

Piotr Mitzner: Tak się zdarza. Przypomniał mi się właśnie tekst Miłosza *Świat. Poema naiwne*. To bardzo ważny wiersz. Fundamentalny problem w interpretacji tego tekstu polega na rozstrzygnięciu, czy ma on wydźwięk ironiczny, czy został napisany serio. Wydaje mi się, że jest tak i tak. Jawi się on jednocześnie jako rozpaczliwa próba nazywania wprost i jako gra.

Żaneta Nalewajk: W tym tekście dostrzegam przede wszystkim obronę naiwności, apologię prawa do naiwnego widzenia, uczucia, wyrażania...

Piotr Mitzner: To też tam jest. Moje spotkanie ze *Światem* Miłosza było bardzo wczesne. Ojciec umarł, kiedy miałem trzynaście lat. Mama wymyśliła wtedy terapeutyczne zadanie dla nas obojga, polegające na porządkowaniu jego archiwum. Robiąc to, trafiliśmy na archiwum akcji wydawniczej prowadzonej przez ojca w czasie wojny. To była fantastyczna sprawa. Mnóstwo wojennych tekstów literackich poznałem wtedy z rękopisów, a nie z książek. Znalazłem wśród nich *Świat. Poema naiwne*, rękopis napisany przez poetę dziecinnym pismem, z tytułem namalowanym akwarelą i podpisem „B.B. Kózka”.

Żaneta Nalewajk: Wróć jeszcze do doświadczenia. Tak jak mówiłam wcześniej, zaskoczyłeś mnie bardzo stwierdzeniem, że to język jest pierwszy, a nie doświadczenie. Jako czytelniczka twoich wierszy od zawsze towarzyszy mi poczucie, że to ono pozostaje ostateczną instancją sensu. Pomimo tego, że twoje teksty są dopracowane, wyczelowane, doszlifowane, dają się one zawsze skonfrontować z doświadczeniem. Nie chcę w tym miejscu drążyć kwestii autobiograficznych. Zapytam jednak: jakie znaczenie – oprócz autoterapeutycznego i poznawczego – ma dla ciebie nadawanie doświadczeniu formy artystycznej? Wspominałeś kiedyś w jednej z naszych prywatnych

rozmów, że wagę poszukiwania formy dla tego, co przeżyte, uświadomiła ci praca z teatrem. A jak to wygląda w wypadku tekstu poetyckiego?

Piotr Mitzner: Nie piszę, rzecz jasna, wyłącznie autoterapeutycznie. Zastanawiam się zawsze, czy to może przydać się komuś do czegoś. Staram się pisać tak, żeby mogło. Podobnym doświadczeniem był teatr. Praca z nim wymagała umiejętności pisania tekstów, które dotrą do widza, a jednocześnie układania tekstów dla różnych postaci. Wracając jednak do wierszy – nie potrafię powiedzieć, gdzie dokładnie w mojej poezji przebiega granica między liryką roli a *otsiebiatinq* (*otsiebiatina* to piękne rosyjskie słowo). Ta granica między nią a obcym doświadczeniem nie jest wyraźna. Czasami ktoś opowiada mi sen, a ja pytam, czy mogę go wykorzystać w swoim wierszu i połączyć z opowieścią o swoim śnie. Różne pomysły przychodzą do mnie właśnie we śnie. Wydobywają się z takich głębin nieświadomości, że tylko psycholog albo psychiatra mogliby się tym zająć. Czy z powodzeniem? Nie jestem pewien.

Udało mi się przerobić na wiersze kilka snów. We śnie słyszę głos. Zdarzają się miesiące, podczas których nie pamiętam snów. W pozostałych prowadzę zapiski. Jeśli zdolałam zapamiętać sen – nawet banalny – wtedy go zapisuję. Ostatnio usłyszałam frazę: „A dziecko niech nie wraca do krainy piszących”. Skąd to się bierze? Tylko wróż Maciej znałby odpowiedź na to pytanie (*śmiech*).

Żaneta Nalewajk: Wspominałeś o swoim i cudzym doświadczeniu. Język poetycki byłby w tym ujęciu zapisem ich dialogu albo próbą przerzucenia artystycznego mostu pomiędzy nimi. Widać to w poetyce tytułów wielu twoich wierszy, w tekstach dedykowanych (nie brakuje takich w twojej twórczości poetyckiej), a także w utworach będących zapisem epizodów z czymś udziałem, w których kondensuje się głębsze znaczenie.

Piotr Mitzner: Tak. Poza tym przejawia się to w cytatach lub cytatach, których znaczenie zostało lekko przeze mnie przesunięte. W moim wierszu dwie wdowy rozmawiają o nagrobkach. Jedna mówi: ja swojego męża nie solę, bo sól mu szkodzi. Kiedyś na Powązkach na własne uszy słyszałem rozmowę dwóch sprzątaczek. To, co mówiły, było jeszcze śmieszniejsze, ponieważ miało wydźwięk polityczny: ja Gomułkę solę, a ja Cyrankiewicza tylko omiatam. Na tym polega przesuwanie znaczenia. Wykorzystuję w wierszach ten mechanizm, zdarza mi się także zmieniać kontekst wypowiedzi.

Żaneta Nalewajk: A skąd u ciebie skłonność do prowadzenia zapisków?

Piotr Mitzner: Kiedy byłem w szkole podstawowej, przyjaciel mojego ojca, profesor Bronisław Wieczorkiewicz, poprosił mnie, żebym na bieżąco notował gwarę szkolną – chciał coś z tym zrobić, ale nie zdążył, bo umarł niedługo po ojcu. Notowanie weszło mi jednak w nawyk.

Żaneta Nalewajk: Piszesz bardzo refleksyjne wiersze, choć jednocześnie sporo w nich humoru. Pojawia się w nich nie tylko subtelny komizm sytuacyjny i słowny, lecz także autoironia. Jak to jest z tym humorem? Czy zjawia się w wierszu przez przypadek? A może to wynik zastosowania konkretnej strategii poetyckiej albo wyraz określonego poglądu na świat?

Piotr Mitzner: Mówiłem już, że wszystko zaczyna się w dzieciństwie. Pamiętam doświadczenia z tamtego czasu związane z pobudzaniem do zabawy językiem. Jedno z nich to gra w słowa z ojcem. Trzeba było wziąć jak najdłuższe słowo i ułożyć z liter, z których się składało, jak najwięcej innych słów. Nie mogły być nimi nazwy własne. To było zabawne i przyjemne.

Żaneta Nalewajk: Opis brzmi jak zasady idealnej zabawy dla przyszłego poety lingwisty albo skuteczny przepis na to, jak go „wyhodować” (*śmiech*).

Piotr Mitzner: (*śmiech*). No tak. Wiesz, niedawno uświadomiłem sobie, na czym się wychowałem. W domu było mnóstwo książek. Wdrapywałem się na najwyższą półkę regału i zdejmowałem z niej na przykład niemiecką encyklopedię erotyki. Nawet gdybym znał niemiecki, nie mógłbym jej jednak czytać, ponieważ była pisana gotykiem. Ale było dużo obrazków! Wychowałem się też na dziewiętnastowiecznych gazetach: „Tygodniku Ilustrowanym”, „Kłosach”, „Wędrowcu”. W jednym z moich ulubionych wierszy Tuwima zatytułowanym *Ryciny* pojawia się opis tych „miedziorytowych lat” oraz fraza „I samiśmy już kopersztych!”. To jest mi bardzo, bardzo bliskie. Ubóstwiam stare gazety. Do dziś często czytam je w Bibliotece Narodowej. Tam jest siedziba „Nowej Polski”. Jest co czytać!

Żaneta Nalewajk: Nie wątpię. Jeszcze jakiś czas temu niemal za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, mówiłeś: „siedzę w Narodowej”, „idę do Narodowej” albo „wychodzę z Narodowej” (*śmiech*).

Piotr Mitzner: (*śmiech*) Staram się namawiać studentów, żeby czytali czasopisma, żeby studiowali nie tylko goły tekst, lecz także kontekst historyczny i to, jak bardzo czasem był on złożony. Teraz jest to coraz trudniejsze, ponieważ dużo trudniej niż kiedyś dostać do rąk oryginały. A wśród czasopism, które sam przeglądałem w dzieciństwie, były tygodniki satyryczne, takie jak „Mucha”, „Cyrulik Warszawski” i „Szpilki”. Oczywiście powojenne „Szpilki”, zwłaszcza z „okresu błędów i wypaczeń”, okazały się mocno takie sobie w porównaniu z przedwojennymi. To była naprawdę ważna lekcja humoru. Kiedy czytam dziś kalambury pióra Tuwima czy Słonimskiego w stylu „bombasador atomerykański”, wydają mi się one mało śmieszne, ale jednocześnie pamiętam, że jest to dobra szkoła gry językowej i poczucia humoru. Tego niestety nie znalazłem u Przybosia. Duch gry językowej, absurdu (także absurdu metafizycznego) i innych form komizmu (nie potrafię ich nazwać – trzeba by wziąć do ręki książkę Buttlerowej², na której wykłady chodziłem) był obcy temu poecie. W gruncie rzeczy najbardziej ukształtowała mnie lektura poetów „Skamandra”. Skamandryci, a także Świątepek Karpiński i Janusz Minkiewicz kształtowali kanony humoru w dwudziestoleciu międzywojennym, później te tradycje kontynuowane były przez powojenne „Szpilki”. Świątek Karpiński wespół z Januszem Minkiewiczem w ramach inicjatywy pod identyczną nazwą jak przedsięwzięcie Grotowskiego, czyli Teatr 13 Rzędów, zabawiali się w następujący sposób: publiczność rzucała słowo, a oni musieli je sprawnie zrymować i zaimprovizować wierszyk. W pewnym momencie padło słowo kandelabr. Minkiewicz tak wybrnął z zadania: „Mam w domu strzelający kandelabr.

² Mowa o książce *Polski dowcip językowy*, Warszawa 1968 – przypis red.

Nie lubię, kiedy strzela brrr...". To genialne. Potem ten duch humoru zamarł. Jeszcze zdążyłem skorzystać z tej tradycji. Do poetów, którzy inspirowali mnie, należy również Stanisław Jerzy Lec. Jego sposób widzenia świata i podejście do języka były mi od początku nieprawdopodobnie bliskie. Cenię Leca zarówno jako aforystę, jak i poetę, autora tomu *Poema gotowe do skoku*.

Żaneta Nalewajk: Przed dzisiejszą rozmową pomyślałam sobie, że gdybym otrzymała zadanie opisanie twoich tekstów poetyckich za pomocą dziesięciu słów kluczy, użyłabym następujących: lingwizm, zwięzłość, wieloznaczność, rytm, sensualność, doświadczenie, humor, autoironia, podmiot i czas. Czy mógłbyś zweryfikować tę listę i dodać do niej dziesięć swoich określeń?

Piotr Mitzner: Listę akceptuję. Naprawdę coś jeszcze mam do niej dodać?

Żaneta Nalewajk: Tak, dziesięć kolejnych słów kluczy.

Piotr Mitzner: Nie, nie umiem. Ja nie definiuję, ja piszę.

Żaneta Nalewajk: Nie wymagam definicji.

Piotr Mitzner: Oj, to trudne. W tych dziesięciu słowach zawiera się bardzo wiele. Dodałbym jeszcze takie, jak: ruch, dzianie się, metamorfoza.

Żaneta Nalewajk: Mamy już trzy słowa. Jeszcze tylko siedem (*śmiech*).

Piotr Mitzner: Więcej nie będzie (*śmiech*). Metamorfoza jest bardzo ważna.

Żaneta Nalewajk: Woda?

Piotr Mitzner: To jest motyw. Motyw to co innego.

Żaneta Nalewajk: Motywy też mogą być słowami kluczami. Zaczynamy rozmawiać jak filolog z filologiem (*śmiech*). A dom?

Piotr Mitzner: Dom także. Drzwi, wiatr, drzewo, kamień, deszcz, słońce. Nie księżyc. Ptaki.

Żaneta Nalewajk: To w większości motywy przyrodnicze.

Piotr Mitzner: Tak. W moich wierszach pojawiają się też zwierzęta: wiewiórka, kot.

Żaneta Nalewajk: Nie wiem, co z tego wynika. Mądrzejsi rozstrzygną.

Piotr Mitzner: Tak. Jeszcze samo pisanie i pociąg. Szyny, droga. I chodzenie. Idę, ktoś idzie. Pamiętasz taki wiersz Tuwima *Ruch*? „Wstali chodzą. O jak uroczo! / Oto zdarzenia. Nie wiem po co. // Chodzą, idą. W sprawach idą. / Przyjdą, załatwią i znowu wyjdą. / Wstali, iżby. Chodzą, ażeby. / Oto cele. Oto potrzeby // Idą prędko po mieście Warszawie. / O, jak uroczo! O, jak zabawnie! // Kroki po liniach. Myśli w głowie. / Nakręcony, ruchomy człowiek! // Rusza się, żeby. Idzie, aby. / Obywatel miasta Warszawy. // On dla wszystkich. Wszyscy dla niego. / O, jak śmiesznie! Bo nie wiem, dlaczego”. To jeden z moich ulubionych wierszy. Wracając do motywów: jeszcze jedzenie chleba.

Żaneta Nalewajk: I zagniatanie ciasta. Pamiętam piękną, związaną z tym synestezyjną metaforę z tomu *Kropka* „taniec rąk w misie”.

Czy z perspektywy lat mógłbyś powiedzieć, że miałeś w swoim pisaniu szczególnie ważne momenty albo przesilenia?

Piotr Mitzner: Na pewno tak. To wiązało się z doświadczeniem.

Żaneta Nalewajk: Czy mógłbyś wskazać tomiki, które powstały w takich właśnie momentach?

Piotr Mitzner: *Myszoser* jest przełomowy, ponieważ moment, w którym powstał, również taki był. Kilka wierszy napisałem, kiedy jeszcze pracowałem w ośrodku kultury, później nastąpiło zawirowanie związane z wyrzucaniem nas stamtąd. Nałożyła się na to przeprowadzka i wiele innych spraw. To był gęsty od zdarzeń i dramatyczny czas.

Czasami zdarza mi się opisywać sytuację, o której wiem, że się zdarzy. W tomie *W oku kuku* jest opis wyprowadzki, której wtedy jeszcze nie było. Przeczuwałem jednak, że ona nastąpi.

Przełomy... Nie zastanawiałem się, dlaczego wcześniej zwróciłem się nagle w czasach szkolnych w stronę surrealizmu i futuryzmu. Pomimo tego, że spotkanie z futuryzmem było wcześniejsze niż przygoda z surrealizmem, do dziś go lubię.

Żaneta Nalewajk: Zadam teraz pytanie z serii niechcianych i nie lubianych przez poetów. Mówiłeś sporo o inspiracjach – także formalnych – wśród których znalazł się między innymi tom *Poema gotowe do skoku* Leca. Wspomniałeś o tekstach skamandrytów i futurystów jako silnych impulsach artystycznych. W jednym z moich ulubionych twoich wierszy, czyli w *Litanii na głoskę ł* opublikowanym w tomie *Kropka*, czytelne są nawiązania do eksperymentów poetyckich Wielimira Chlebniakowa. Takich związków jest znacznie więcej. Czy mógłbyś opowiedzieć o tych źródłach inspiracji poetyckiej, których jesteś świadomy, zarówno jeśli chodzi o tradycję polską, jak i o twórczość poetów innych kręgów językowych? Nie pytam w tym miejscu o lektury (wrócę do nich później) – bo nie wszystko, co czytamy, artystycznie nas zapładnia – nie pytam też o mało twórcze wpływy, a właśnie o inspiracje.

Piotr Mitzner: Aaaa... To trudne pytanie z tego powodu, że muszę mieć w głowie całą literaturę polską XX wieku, ponieważ jej uczę. Oczywiście, jedne teksty lubię bardziej, inne mniej, ale trudno mi powiedzieć, które mnie inspirowały, a które na pewno nie. Plan dydaktyczny w pewnym stopniu tłumi te inspiracje. Jako nauczyciel akademicki nie mogę dobierać sobie lektur zupełnie swobodnie, jednak do pewnych tekstów wracam. Przykładem był wiersz Tuwima, który ci przed chwilą przeczytałem. Chętnie sięgam także do wierszy Gałczyńskiego. To poeta, który towarzyszy mi przez całe życie i który jest dla mnie niestychanie ważny, ale chyba nie oddziaływał na moje pisanie. Bardzo lubię jego świat poetycki. Lubię także czytać Puszkina, zwłaszcza *Eugeniusza Oniegina* po rosyjsku, co nie oznacza, że na mnie wpłynął.

Żaneta Nalewajk: Czasem, kiedy czytam znakomitą książkę literaturoznawczą, zdarza mi się pomyśleć: ach, żeby napisać w życiu chociaż jeden taki tekst, nie taki sam, ale tej klasy, tak samo dobry. To bardzo pozytywne, motywujące (związane z podziwem, a nie z zazdrością) uczucie. Czy znasz je jako poeta?

Piotr Mitzner: Tak. Myślę w taki sposób, kiedy czytam wiersze Gałczyńskiego, całą twórczość Iwaszkiewicza. Iwaszkiewicz fascynuje mnie także jako osoba. Ostatnio robiłem rewizję w swoim dzienniku snów. Zapiisałem w nim chyba z sześć ważnych snów

z Iwaszkiewiczem. Rozmawiamy w nich. Ciągle wracam do jego wierszy – wczesnych, środkowych, późnych – tak jakbym doskonale go rozumiał. Tu nie chodzi – podobnie jak w wypadku Gałczyńskiego – o wpływ, ale o dialog. Uważam *Niobe* za jeden z największych poematów XX wieku. Natomiast z Miłoszem bywało różnie. Miałem dłuższą fazę fascynacji jego poezją. Potem zdystansowałem się. Później spodobało mi się sporo ostatnich wierszy Miłosza, tych, w których pojawia się poczucie humoru, i tych, w których podważona zostaje solenność tonu autora (tak było też w dużo wcześniejszym cyklu *Świat. Poema naiwne*). Przykładem może być *Otchłani*: „Ach te muchi, Ach te muchi,/ Wykonują dziwne ruchy,/ Tańczą razem z nami,/ Tak jak pan i pani/ Na brzegu otchłani”. Niesłuchanie lubię proste, a nawet prostackie rymy.

Żaneta Nalewajk: W twojej poezji nie widać tego zamiłowania do prostackich rymów.

Piotr Mitzner: Nie?

Żaneta Nalewajk: Wygląda na to, że lubisz je potajemnie.

Piotr Mitzner: Może i tak.

Piotr Mitzner: Przypomniało mi się, jak to było z inspiracją Zagórskim. Rozmawiałem z nim, dawał mi jakieś rady. W bibliotece na Koszykowej przeczytałem jego przedwojenne tomy. Są niesamowite – na przykład poemat *Przyjście wroga*. To taki ostry surrealizm, bluźnierstwo, odwaga. Potem Zagórski bardzo się tego wstydził. W powojennych wyborach drukował tylko fragmenty poematu, wykrawał z niego kawałki. Ten tekst zrobił na mnie ogromne wrażenie. Oprócz wierszy Zagórskiego i *Balu u Salomona Gałczyńskiego* w poezji polskiej nie było zbyt wiele surrealizmu.

Żaneta Nalewajk: Kogo jeszcze cenisz?

Piotr Mitzner: Miałem zwariowaną ciotkę, która była wielbicielek Baudelaire’a. Mówiła: jak dorośniesz, to poczytasz. Pomyślałem: o cholera, muszę jak najszybciej do tego zajrzeć. Dzięki ciotce poznałem go bardzo wcześnie. Zawsze omawiam jego wiersze i dzienniki na zajęciach poświęconych nowoczesności oraz relacjom literatur polskiej i zachodniej. Wcześniej w okresie licealnym (w kręgach hipisopodobnych) czytaliśmy Baudelaire’a i Rimbauda. To byli nasi mistrzowie. Obaj, a podobno trzeba między nimi wybierać. Jednocześnie wszyscy czuliśmy się Rimbaudami. Wtedy właśnie przeczytałem *List jasnowidza*. Ciągle uważam go za jeden z najważniejszych manifestów poetyckich.

Żaneta Nalewajk: A Baudelaire czym cię zafascynował?

Piotr Mitzner: Dandyzmem, oczywiście, i niewymuszoną elegancją w byciu dandysem. I jeszcze tym, że był niespiesznym przechodniem w świecie. Fascynowało mnie to, jak idzie i patrzy. Pod tym względem Stempowski miał w sobie coś z Baudelaire’a. W poezji Baudelaire’a jest coś schyłkowego, poczucie znużenia, dlatego potrzebowałem także Rimbauda z jego siłą podboju świata i słowa.

Żaneta Nalewajk: Teraz przeczytam ci listę nazwisk twoich ulubionych autorów. Spisałam ją w trakcie naszej ostatniej rozmowy. Są na niej tacy twórcy jak: Celan, Mallarmé, Chlebnikow, akmeiści rosyjscy, Puszkina, Holan, Brecht. Z Polaków: Przyboś, Iwaszkiewicz, Gałczyński, Różewicz, Lec.

Piotr Mitzner: Celana znam tylko w przekładzie, bo nie uczyłem się niemieckiego. Pomimo tego jest mi bardzo bliski. Słucham też nagrań jego wierszy na płycie. Wykonanie głosowe wiersza jest dla mnie szalenie ważne. Napiszę kiedyś tekst o autorskich interpretacjach poezji. Rosjanie nagrali niemal wszystkich swoich autorów – z wyjątkiem Cwietajewej. Słyszałaś może, jak Eliot czytał *Ziemię jałową*?

Żaneta Nalewajk: Niestety nie.

Piotr Mitzner: Robił to w sposób niestychanie aktorski. W tej głośnej lekturze prawdziwie wybrzmiły ironia, patos i szyderstwo wpisane w poemat. A jak okropnie czytał Przyboś! Dużo lepiej robił to Broniewski. Pamiętasz? „Ulica Miła wcale nie jest miła./ Ulicą Miłą nie chodź moja miła”. To jest muzyka w poezji.

Często wyjmuję książki tych poetów i czytam sobie półgłosem albo przyczepiam się do kogoś i mówię: muszę ci przeczytać.

Żaneta Nalewajk: Życzę ci więc, żeby inni też tak czytali sobie i znajomym twoje wiersze. Dziękuję za rozmowę.

Piotr Mitzner: Ja też dziękuję.

**Rozmowa została nagrana w mieszkaniu Piotra Mitznera
w Warszawie 12 lutego 2013 roku.**



Piotr Mitzner